

Cała prawda o Alicji Meler

Poszła Alicja do lasu. Ptaki śpiewają, grzybiarze piją coca-colę, obierają jajka na rano, złodzieje rowerów zadowoleni idą spać. Zgoda, spokój. I spotkała Alicja lisa. Pyta lis Alicję:

– Alicjo, masz ochotę na maliny?

– Mam – ucieszyła się Alicja. – Uuuch, i to wielką!

Zawstydził się lis, że nie ma żadnych malin, kurtuazyjnie zapytał, gdzie by miały rosnąć o tej porze, styczeń, wszystkie krzaki zasypane śniegiem, oblodzone i zasypane śniegiem.

– Mam tylko dżem malinowy – przyznaje zasmucony lis. – Dżemniemy sobie?

– W porządku – odpowiedziała Alicja. – Nie przejmuj się, mam w koszyczku rum, wyciągnij ten swój dżem, zrobimy kanapki, przykrywańce, posmarujemy dżemem, przykryjemy chlebkiem, będzie wesoło!

I było wesoło, i nawet rano, po przebudzeniu, wcale nie było jej smutno.

Raz się żyje, a co tam, nie ma się co rozczulać i gryźć – powiedziała Alicja do lisa i wyłączyła komputer.

Idzie Alicja przez las, raduje się, zrywa kwiatki, pozdrawia złodziei rowerów, podsuwa swoją piersiówkę zmarzniętym grzybiarzom, słowem, bywa pięknie. Naaaaagle – wyskakuje zza krzaka Prychacz, rzuca jakiś tragiczny komentarz, taki, że nie wiadomo gdzie czyż podziąć.

– Nie zwracaj na niego uwagi – lis głaszcze łokieć Alicji. – Poprycha i przestanie. Posiedźmy jeszcze, jest tak pięknie.

Złodzieje rowerów zajęci byli zabawą: lali do kufła czerwone piwo („Utenos”) i na czapie piany kładli centy, licząc, jak długo się utrzymają, zanim zatoną. Grzybiarze przytrzymywali się ścian, wspierali na sobie nawzajem, i tak zdejmowali kalosze.

– Codzienne picie nie wiedzie ku niczemu dobremu – powtórzyła chyba po raz dziesiąty Alicja. Lis poruszył wąsem. Spał.

Alicja wyłączyła komputer.

Na kuchennym stole grzybiarze wryli kozikiem napis: „Alicja kocha lisa”, i poprosili, żeby przyszyła im guzik do płaszcza ortalionowego. Złodzieje rowerów ponuro siorbali herbatę. Alicja przeciągnęła się i poszła do sklepu kupić rower. Pół godziny później złodzieje rowerów, śmiejąc się i szepcząc coś między sobą, buchnęli jej go. I teraz wszyscy są zadowoleni.

Pcha Alicja taczki przez las, rozgląda się zmartwiona, w końcu znajduje i rozpromienia się z radości: na pieńku siedzi dobra, gruba, tłusta Wymówka, Żeby Nie Pracować. Ładuje ją na taczki, wraca do domu. Z łazienki dobiega pogwizdywanie masowanej przez lisa Wymówki, Żeby Się Nie Gimnastykować. Przy kuchennym stole złodzieje rowerów łaskoczą po szyi rozchichotaną Wymówkę, Żeby Nie Iść Spać, a za oknem widać grzybiarzy, którzy trzymają pod pachy i wloką przez podwórze Wymówkę, Żeby Nie Myć Naczyń. Chudzina taka, wywija się, pręży, ryje piętami w trawniku długie rowki, pyskuje cienkim głosikiem. Jak śmiesznie ruszają się jej uszy prześwitujące różowo w promieniach poranka.

– Czy naprawdę wolno było kiedyś palić w samolotach? Naprawdę? – Alicja rozgląda się niespokojnie. Zachwycona dotyka miniaturowych puzderek wmontowanych w poręczce foteli, podziwia popielniczki w kawiarnianych ubikacjach.

– Czy naprawdę ludzie palili kiedyś tak dużo, że nie latali samolotem i nie chodzili na siusiu bez papierosa?

– Urocze czasy – marszczy nos lis.

– Chcę, by wrócili... – miauczy żałośnie Alicja.

– Wymiana – mówią nagle grzybiarze. – W zamian zgodzilibyśmy się, na przykład, nie nosić kalesonów, tylko co dzień rano rysować kredką na tydkach szew pończochy.

– Wymiana – mówią złodzieje rowerów. – W zamian moglibyśmy popracować trochę w fabryce broni.

– Wymiana – mówi lis. – Mógłbym żywić się zmarzniętą rzepą i pić kawę z żółdźdi.

– Wymiana – mówi Alicja. – Mogłabym zamiast czekolady gryźć smażone krążki buraków cukrowych.

Zamieńmy się, słyszycie, kobiety z czarno-białych filmów – oddam wam swoje rajstopy (które nie są jedwabne, ale za to nigdy nie puszczają oczek) i dorzucę kilka ziaren prawdziwej kawy.

– Nawet filmów, w których są strzelby, nie oglądasz, po co ci wojna – warczy ze złością komputer i sam się wyłącza.

– Ktoś sobie nieźle z nas wszystkich drwi.

Alicja trze na tarce marchew tak zawzięcie, że za chwilę się rozpłaczę. Lis poluje, lis ma wyjazd służbowy. Złodzieje rowerów pośpiesznie zgarniają ze stołu natłuszczone smarem łańcuchy i uciekają na werandę. Alicja kaleczy o tarkę knykcie, wyje z bólu i wzrokiem wykopuje z kuchni zaspanego grzybiarza – to jego tyłek wystawał z uchylonej lodówki.

– Czasami wydaje mi się, że to tylko taki eksperyment – zagniewana Alicja strzepuje nad miską resztki marchwi z dłoni – kto pierwszy zauważy, że z niego drwią, ten dostanie nagrodę składającą się z wymarzonej przyjemności i znacznego zmniejszenia dotychczasowych obowiązków. Czy nie do tego sprowadza się idea raj? Wymarzone przyjemności i zmniejszone (do minimum) obowiązki.

Wy, tam na górze, pod ziemią i na ziemi – już zauważyłam, że ze mnie drwicie, poproszę Nagrodę, amen.

– I jeszcze zdrzemnęłam się w ciągu dnia – opowiada Alicja do słuchawki – a niewiarygodnie gęsty sen zakończył się przedziwnie. Zostałam wyproszona z wesela (ale nie mojego), powiedzieli, „znikaj stąd, zanim wszystko popsujesz” – pytam: „a co bym mogła popsuć”, na co ci wyganiaacie – „znów zaczniesz krzyczeć: więcej koks, więcej koks!”*

* Koks, ten, który płonie i daje ciepło, nie narkotyk.**

** Nie wiem, po co w ogóle się tłumaczę.

Złodzieje rowerów zbierają nerwowo zardzewiałe zębatki, które Alicja poodkładała to tu, to tam:

– To ważne części – tłumaczę. – Powinnaś wyrażać się jasno, bez przypisów.

– I nie służą do zabawy! – krzyczą w stronę kąta pokoju, gdzie na podłodze siedzą rozmarzeni grzybiarze i próbują zakręcić zębatkę. Trrrrrrrrrrach – zębatka przewraca się na bok.

Alicja zabłądziła w lesie. Znalazła ją i odprowadziła do domu gadatliwa leśna starszuszka.

– U prawdziwego mężczyzny musi być długi na dwie pięści i jeszcze kawałek, żeby wróbelek miał gdzie przysiąść – wyjaśnia Alicji i wychyla pusty kieliszek.

– Powiedzunka to powiedzunka, człowiek z nimi nie wygra – lis uśmiecha się gościnnie i otwiera zębówkę.

– Trzeba jednak wziąć pod uwagę także wielkość piąstek, które mierzą – wymamrotał nieśmiało jeden z grzybiarzy wywlekany pod pachy z kuchni, w której szybko zaczął zapadać zmrok.

Na świecie jest tyle wyśmienitego wina, poezji, tańca, muzyki, tyle rozkoszy, tyle upajającego szumu skrzydeł, delikatnego wiatru i łaszącego się ostrożnie śniegu, i ciepłej trawy, i komnat o wysokich sklepieniach, i zniewalającego mruczenia do ucha, i miłych sercu pomruków wszystkich tych cudowności.

Są też lepkie pajęczyny, zła proza, zła sytuacja bytowa oraz obowiązki, obowiązki i obowiązki, wódka, tępe piły, ciemne, zapadające się tunele, przerażenie, które odbiera mowę, i bezsilność, która jęczy ponuro, ponuro, ponuro.

– Musi być zachowana jakaś równowaga – mówi lis do rozchwianej Alicji.

Złodzieje rowerów poszli na miasto i spotkali mężczyznę, który wyglądał jak chodnikowy anioł. Był piękny niczym (porównanie wpiszcie sami), tylko trochę wyższy, prawie dwumetrowy, a zupełnie posiwiatały, platynowe włosy sięgały mu do ramion. Miał na sobie jasne ubranie, jak przystało na anioła (to stereotyp, ale trudno), marynarkę, koszulę i nawet buty – można by je nazwać białymi, gdyby nie były trochę zszarzałe, przybrudzone, właśnie takie, jakie powinien mieć prawdziwy chodnikowy, a nie jakiś operetkowy anioł.

Grzybiarze wyszli na miasto i spotkali hinduską rodzinę. Mężczyzna – ciemny, w okularach, drobnej budowy, szedł obok pchającej wózek pulchnej, krągłej jak pączek, lecz zabójczo pięknej kobiety w sari. Jak muszę mieć wszystko zawsze dokładnie zaplanowane, żeby utrzymać ten równy, godny, spokojny krok – inaczej zwój czerwonej tkaniny o złotym wzorze nie utrzymałby się na głowie. Na powykrzywianych płytach chodnikowych kobieta wyglądała jak biedronka, która sfrunęta na jednorazowy płaszcz przeciwdeszczowy podczas Święta Pieśni.

Lis wyszedł na miasto i spotkał bardzo szczupłą Arabkę w bardzo zaawansowanej ciąży – nietypowy widok na tej ulicy. Ubrana była w wygodne džinsy, a o tym, że jest muzulmanką, świadczyła tylko nieszczęsna chusta, ale było jej w niej do twarzy. Jest to ulica, na której trudno odróżnić, która kobieta jest w ciąży, a która nie – większość jest gruba, schładzają się niewiarygodnie ponurymi chałatami powiewającymi wokół ich słoinek. Ta elegancka kobieta przecinała powietrze bez najmniejszego oporu, jak brzytwa, ostrze najnowszej generacji – rzekłbyś: bat, witka, ale kto by uwierzył w taki widok – witka w zaawansowanej ciąży.

Alicja wyszła na miasto i spotkała czarną i tak piękną kobietę, że drżą kolana. Gdybym była mężczyzną – pomyślała Alicja – chwyciłabym ją i niosła. Niosąc, wytłumaczyłabym, co i jak. Nie wolno takim pięknym istotom tak sobie, jak gdyby nigdy nic, chodzić pieszo. Taka kobieta powinna być noszona na rękach, a gdyby się człowiek zmęczył – można posadzić ją na zawieszanej między dwoma jabłoniami huśtawce i pohuścić, póki nie powrócą siły i można będzie dalej ją nieść, dokąd potrzebuje.

Alicja to osioł
młoda ośła głowa
mogłaby żyć i
chciałaby żyć
jak wszyscy
w sąsiednich zagrodach
lecz ciągle pisze wiersze:
y-a, y-a, y-a, y-a
Y. A.
a wydaje się, że ryczy
przeciągłe i
poruszająco

2007 08 03

Po podwórzu chodzą sroki, tłuste jak brojlery, piękne hybrydy, skrzyżowanie kleryka z sanitariuszem. A na werandzie mnóstwo liści dębu, wszyscy po kolei je zamiatają: złodzieje, grzybiarze, Alicja – a liście znów skądś przylatują, rude, wygięte jak ogony wiewiórek.

Lis nie zamiata, lis pije, lis się weseli, lis hoduje warstewkę tłuszczu, lis przygotowuje się do zimowej paranoi.

– Boże Narodzenie to nie okazja do szastania pieniędzmi – uczą Alicję złodzieje rowerów. – Patrz – jeśli stara zapisana kartka świąteczna jest składana, wystarczy odciąć zapisaną połowę. Jeśli kartka jest pojedyncza, trzeba zamazać imię adresata i obok wpisać właściwe.

– Kiedyś tak robiłam – mówi Alicja. – Raz wrzuciłam do szkolnej bożonarodzeniowej skrzynki pocztowej stosik kartek zaadresowanych na moje nazwisko z najpiękniejszymi życzeniami od różnych osób. Dostałam wtedy aż piętnaście kartek – czternaście od siebie i jedną od nowej uczennicy, która jeszcze nie wiedziała, co i jak.

Na sylwestra, podobnie jak kilkadziesiąt innych razy w ciągu roku, lis zmienia futro. Zaczyna od tego, że krojąc cebulę, odcina sobie koniuszek kciuka.

- Pierwszy krok (lub pierwsze cięcie) ku odnowie. – Alicja unosi kieliszek.
- Flute – grzybiarze odczytują francuską nazwę z opakowania kompletu szkła.
- Kieliszek do szampana – jak flet – cieszą się złodzieje rowerów.

Wszyscy stoją w kuchni i sączą szampana, grają na fletach, muzykują, oświetlając sufit czołami niczym słabymi latarkami.

– Wynurzanie się z futra, zmienianie skóry – boli – skarży się lis, podtykając wszystkim pod nos swój kciuk.

Ten odstąpięty kawaleczek wygląda całkiem ładnie – ciemnoczerwony z dwoma czarnymi kłaczkami ze swetra, które się przyczepiły, kiedy lis zmieniał ubranie do kolacji. Teraz kciuk wygląda jak fragment arrasu, nie wiadomo, czy przez noc z tych kłaczek nie wyrosnie jakiś często spotykany na arrasach jednorożec.

Przed telewizorem siedzą grzybiarze i chlipią. Alicja nalewa zupę złodziejom rowerów, drapie za uchem lisa i idzie zobaczyć, dlaczego grzybiarze pociągają nosami.

– Przecież to program dla dzieci – mówi i, śmiejąc się, daje każdemu grzybiarzowi po chusteczce. W telewizji miłe zwierzątka w ludzkich ubraniach wiodą bardzo pouczające życie, mają problemy, rozwiązują je i ze śpiewem na ustach idą żyć dalej, gdzieś za napisami końcowymi.

– Dlaczego prostytutki z filmów i książek mówią w tak uduchowiony sposób, jakby skończyły co najmniej filologię i przeczytały Coelho? – zżyma się Alicja, przymierzając skarpetę robioną dla przeziębionego grzybiarza.

– A to co? Świeże smarki na sofie? – pyta groźnie lis zgromadzonych przed telewizorem złodziei rowerów.

– Smarki to łyż, które ktoś próbuje powstrzymać – odpowiada w najbardziej uduchowiony sposób Alicja. – Teraz już zawsze będę starała się mówić równie wzniosłe. Chyba nie jestem gorsza?

– Tytuł powinien ograniczać się do jądra, pestki, którą opowiadający strzela czytelnikowi w czoło. Krótkie tytuły robią pyk, zaraz potem są obok i mówią do ucha wszystko, co trzeba – tłumaczy lis Alicji.

– Długi tytuł nie zahipnotyzuje wewnętrznego oka! – przytakują rozmowni jak nigdy grzybiarze pielgrzymujący jeden za drugim do lodówki.

Żłodzięje rowerów skrobią coś w notesie, nagle zawstydzeni wymykają się z kuchni. Alicja wyciąga szyję i czyta – w notesie jest wiersz zatytułowany *W dzisiejszych czasach rozsądni ludzie nie kupują samochodów, jak mówi nasz kolega Liutauras*.

– Mam na czole pęknięcie, wyłaż z niego rajstopy, wysypują się kolorowe szkiełka, jak z kalejdoskopu i śmieszne zębate kółka ze śrubkami. Gdyby podeszła teraz do mnie jakaś stara muzufmanka i znów prosiła o jałmużnę, walnęłabym ją butelką, niech inni też mają na czołach szczeliny. Ciekawe, co by się z niej wysypało. Pestki oliwek, skorupki krewetek i wysuszone okruszki kuskusu? – Alicja rysuje na blacie, co chwila maczając palec w małej kałuży rozlanego mleka.

– Zerknijcie na nią przez chwilę, zaraz wracam – mówi lis do złodzięje rowerów i grzybiarzy, zalewając wrzaskiem saszetkę melisy.

Twórcza rzeczywistość, nietwórcza rzeczywistość, a jaka jest ta prawdziwa? Wyjdź ze skóry, przewietrz się. Lecz jak trudno wtedy spacerować – ptuła kłapią, schyla się człowiek, żeby zawiązać buty – żółdek mu dynda jak wielki breloczek, sala do aerobiku pełna jest obróconych na lewą stronę miłośników ruchu – kiedy człowiek robi mostek – wypadają dwie nerki, dwa nerkowate baseniki, z jednego wynurza się niezadowolony instruktor, poruszytel miłośników ruchu, wściekły, bo nie ma gdzie zawiesić gwizdka – wszyscy, nawet instruktorzy, musieliby chodzić obrócenii na lewą stronę.

– Jak ktoś się stara dla gospodyń domowych; ile różnych atrakcji wymyślono. Oto człowiek myje naczynia – pachnie cytryną, szoruje podłogę – pachnie różami, czyści kibełek – wdycha zapach lasów sosnowych, wrzosowisk, potem spuszcza wodę – czuje morską bryzę. Można przez cały dzień nie wychodzić z domu i ciężko pracować, a i tak człowiek będzie miał więcej zmysłowych doznań niż ludzie w biurach, gdzie czuć tylko zakurzone papiery, kawę i pachę sąsiada – zrządzi Alicja tak długo, jak długo złodzięje rowerów szykują się do pracy, a grzybiarze próbują ustawić porozrzucane gumowce w równym rzędku wzdłuż ściany.

– Dziś nad ranem śniło mi się, że dostałam protezę stopy. Ciężką, metalową, leżała zawinięta w żółtą jak żółtko męską koszulę z guzikami z masy perłowej. Cieszyłam się, że będzie można tą koszulę – opakowaniem protezy – trzepnąć kogoś po głowie.

– I w ogóle bardzo ładny poranek, plamy słońca na dywanie, tańczyłam, unosząc nogi jak baletnica, i śpiewałam:

„biustonosze, Karkonosze, listonosze”.

Alicja jest zła. Ze złości tupie w rytm muzyki. Lis jest w biurze, lisowi to dobrze.

– Przez lornetkę można patrzeć bez zdejmowania okularów – uczy lis Alicję.

Sytuacja nie zmienia się – masoni z domu po drugiej stronie ulicy są jak zawsze tajemniczy.

– W gabinecie po lewej świeci się lampa stołowa z abażurem – złodzięje rowerów składają raport, przekazując sobie okular teatralny.

– Za każdym razem tak samo się boję, że w oknie po drugiej stronie ulicy też zobaczą kogoś z lornetką. I za każdym razem słodki dreszcz przebiega mi po karku – wtrąca nieśmiało jeden z grzybiarzy, odrywając wzrok od wieczornego serialu.

– Do mojego profilu trzeba jeszcze dodać kategorię: oglądactwo – stwierdza wesoło Alicja i dalej próbuje ustawić ostrość.

Dziewczyna z wypożyczalni filmów, zabójczo piękna, tak piękna, że się kłóciliśmy o nią z lisem, zapytała wczoraj nieśmiało, czy mam na plecach tatuaż.

– Aha – mówię – tatuaż.

– To... konik morski? – pyta, bo widzi tylko zakręcony ogon.

Wylatuje mi z głowy, jak jest po francusku „jaszczurka”. Chcę podciągnąć zakiet i pokazać, lecz jak na złość w drzwiach stoją klienci. I nie udało się dogadać. Mogłam powiedzieć „żmija z nogami” czy coś takiego, zamiast milczeć. Zrobiłyśmy się czerwone. Taka piękna, taka piękna. Nazywamy ją „dziewczyna”, nie wiadomo, jakie imię może nosić takie piękno.

– Chce mi się wycić, i to tak, żeby żyły bryzgały pianą. Chcę górę i śnieg, chcę sturlać się w dół. Albo coś podrzeć, jak szmatę na szmatki. Zębami i do krwi. I żeby skrzypiało jak kruszony styropian i trzaskało jak łamane szyki mleczu i parowało gęstymi kłębam jak futerko zdzierane na mrozie. Chcę, żeby było kolorowo jak w komiksie i grubą czcionką, ostro i szybko jak z bicia strzelił, ale i delikatnie, i żeby było pętłkowo fikołkowo, no, żebyzapędzić kogoś w kozi róg – szamocze się Alicja.

„Histeria na tle rui” – piszą złodzieje rowerów, podają liścik lisowi i na wszelki wypadek siadają blisko grzybiarzy, którzy tępyimi nożami czyszczą kurki.

Alicja: Myślę, że zmarli mają więcej rozumu i odróżniają kpinę od niekpiny.

Lis: A samuraje w ogóle nie myślą.

Alicja: „W ogóle” czy „wogóle”, razem czy osobno?

Lis: Napisz lepiej jakiś wiersz. Wiele osób pisze.

Lisa budzi kura, którą we śnie ubodła koza, którą ogłuszył poryw ciszy. (Tak to zostało sformułowane w tym śnie: „ogłuszył poryw ciszy”). Alicję budzi skurcz w lewej naciągniętej łydce. Boli, zapewne jakiś poryw ciszy dźgnął ją w tym miejscu swoim rogiem.

Alicja wraca z parku, wymachuje rękami najeżona z przejęcia:

– Karmitam kaczki nad stawem, znalazłam w torebce pokruszone wafle, ale kaczki nawet na mnie nie spojrzały – na brzegu leżą góry chleba. Kawalkiem wafła niechcący trąciłam bok jednej z kaczek, to w końcu zareagowała i zjadła okruszek. Rzuciłam więcej – zjadła następne, widocznie wafle okazały się smaczniejsze od chleba. Wtedy zrobiła kilka kroków w moją stronę. Jedną nóżkę miała bez płetwy, sam kikut. Przykucnęłam oniemiała: ale jak pływa? Może w ogóle nie wchodzi do wody? Poruszając tylko jedną płetwą, kręciłaby się w kółko?

– Ty i te twoje zwierzęta – wzdychają złodzieje rowerów i idą uspokoić grzybiarzy, którzy kłócą się o dwa seriale lecące w tym samym czasie na różnych kanałach.

Oj, co też mi się przypomniało, aż poczerwieniałam ze wstydu. Kiedyś, będąc jeszcze wrażliwym i uduchowionym podlotkiem, na pastwisku, dość daleko od domu – zielone

równiny, cały teren zmelioryzowany, poruszający do łez zachód słońca i inne obowiązkowe rzeczy – zrywałam trawę dla króli, może nawet śpiewałam „uciekła mi przepióreczka w proso” – wieczorem echo pięknie się niesie – a potem tak się rozochociłam, że – ooo, jaki wstyd – jeśli dobrze pamiętam, zaczęłam recytować wiersze, przeróżne, przypominam sobie tylko, że kiedy padłam na kolana, deklamując na rżysku o psiakrew Vincasa Mykolaitisa-Putinasa, coś w stylu „mój Boże, jakież to...” – odwróciłam głowę, uniosłam załzawioną twarz – tuż obok stał ojciec.

Może przyszedł po owcę.

Pewna historia miała makatkę. Na ścianie, nad łóżkiem. Wyhaftowaną w sarenki, łabędzie i inne pełne wdzięku, drżące o porannej rosie stworzenia. I co, i co jeszcze było tam wyhaftowane? Był też napis – pnący się jak bluszcz, wyszyty czerwonymi literami: „Piękny jest tylko poranek miłości”. Jak się śmiałam, słysząc o niej po raz pierwszy. I jak w pocie czoła będę haftować sobie taką samą, kiedy nadejdzie ów poranek.

– Niech mnie ktoś porwie i wywiezie tam, gdzie na opuszkach palców błyszczą olej arganowy, w kącikach ust zostają kawałki kuskusu, gdzie noce są gorące i wilgotne, gdzie mogłabym powiewać sukienką, łopotać na wietrze, odchylając do tyłu głowę, niech mnie ktoś porwie i wywiezie – śpiewa Alicja. Grzybiarze rozmontowali pilota od telewizora na części, teraz niosą go złodziejom rowerów, może oni zreperują – każdy grzybiarz niesie inny element, ostatni, stojący na końcu kolejki pośpiesznie wyciera kurz z drobnej zapłaty – słoiczka marynowanych grzybów. Wszyscy są okropnie zajęci, dlatego Alicja idzie prac wełniane skarpety – uwielbia odkrawać kawałek szarego mydła z dużej kostki.

Lis sprzedał jeden ze swoich doszczętnie przerdzewiałych samochodów. Wziął za niego trzy lity, mniej niż za grzyba, i grzybiarze wożą teraz drewno na opał starym renault – silnik Diesla rekompensuje im brak traktora. Jak podskakują, gruchocząc i terkocząc, jak im marzną nogi, gdy wiatr siecze przez dziury w podwoziu, kiedy zwożą to swoje drewno ręką z naklejką na zderzaku – dużą jasnoniebieską naklejką: „Natural American Spirit”. Czy Indianinowi z naklejki pykającemu długą fajkę nie jest zimno pośród sosnowych lasów i nieodśnieżonych dróg? Naklejka została na zderzaku, szkoda, teraz już za późno, żeby ją oderwać.

Alicji także podobają się Indianie, ma pustą paczkę po American Spirit – świetlistożółtą, spłaszczoną i oprawioną w ramki. Obok niej przechowuje podarunek od złodziei rowerów, wyszperany gdzieś znaczek pocztowy: *Dziewczyna na kuli*, Picasso, CCCP poczta 1971 goda. Siedzący umięśniony olbrzym szelnie opasany na biodrach niebieską chustą i chłopięco szczipła dziewczynka balansująca na kuli jak jaskółka. I wcale im nie przeszkadza ten Indianin obok. A może nawet czasem rozmawiają sobie we troje, w końcu, tak czy siak, są wtrąceni za tę samą szybkę.

Idzie Alicja przez las i słyszy:

– Piszę wiersze, ale niczego nie czytam, boję się, że mógłbym naśladować – wyjaśnia jeden ze złodziei rowerów.

– Kochasz ją, bardzo kochasz, czy tak średnio? – dopytują się grzybiarze kolegi, który z troską na twarzy obskubuje płatki rumianku.